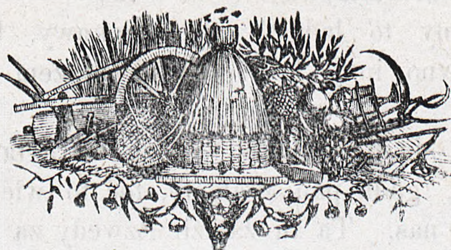
Tom XIV. | **Nr. 6.**

21. lutego | **1866.**





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nagroda miłosierdzia.

Niedaleko Przeworska leży o milę od murowanego gościńca miasteczko Kańczuga. Jestto staropolskie miasteczko, mieszczanie są z dziadka pradziadka dobrymi Polakami i pobożnymi katolikami, są trzeźwi, pracowici i wyrabiają z drutu różne rzeczy, to przetaki druciane, to łapki na myszy i szczury, a znowu idą na całą Galicyę i drutują garnki i miski i żyją uczciwie z tego zarobku. Otoż o jakie dwie staje od tego miasteczka stoi na pagórku ładny murowany kościółek, fundowany przez dziedziców Kellermanów, ma dwie wieżyczki, dach blaszany, w okolusieńko drzewa i sztakiety. A w ołtarzyku jest obraz wymalowany św. Józefa, patrona zmarłego urzędnika i dziedzica Józefa Kellermana. Do tego kościółka chodzą Kańczużanie, aby zmówić paciorek, i aby się patrzyć na zachodzące słoneczko. Otoż i ja ciekawy poszedłem tam raz w niedzielę i nadybałem tam jednego mieszczanina Walentego Krupińskiego. Przywitaliśmy się po polsku i katolicku, a ja mówię do niego:

— A to mi dopiero ładny kościółek, wymurowany prościutko i gładko, jakby go kto wystrugał ostrym nożykiem.

A pan Walenty odzywa się na to:

— Co ładny to ładny! ale i ciekawy, bo tu na tem miejscu był dawno inny kościółek z obrazem cudownym św. Magdaleny.

— A gdzie się to wszystko podziało? pytam go.

— O gdzie, gada pan Walenty, toć to wie o tem prawie każde dziecko u nas. Ta tu zaleźli Szwedy za jakiegoś króla polskiego do Kańczugi, chcieli miasto spalić, jeno dało im miasto 300 karbowańców i jedzenia dosyć, potem poszli sobie ztąd do Przeworska i ze zbytków spalili po drodze kościółek drewniany św. Magdaleny, co stał od niepamiętnych czasów akuratnie na tem samem miejscu. I tak stało to święte miejsce próżne dotąd, aż przecie natchnął Bóg dziedziców i fundowali tu ten ładny kościółek.

Ja opatrzyłem w około ten kościółek i gadam:

— To się pewnie spalił wtedy i obraz św. Magdaleny.

— A juźci tak! powiada pan Walenty, ale co szkoda to szkoda już i staropolskiego kościółka, co go gromady fundowały dawno dawno na pamiątkę, jak Bóg uratował ich od strasznego powietrza, bo pono ani jeden człowiek nie umarł tu a w całej Polsce wymarło dużo dużo ludzi, ale za ten cudowny obraz św. Magdaleny to pewnikiem pokarał Bóg tych niedobrych Szwedów.

A ja zadumałem się na to i powiadam:

— Dobrze gadacie, panie Walenty, bo każdego ukarze Bóg, czy to Szweda, czy Turka, czy Moskala, czy Niemca, ba i Polaka, jeźli nie uszanuje domu bożego i poniewiera albo psuje obrazy świętych. Polak każdy powinien być pobożnym i szanować pamiątki po swoich dziadkach. Ale co wy mi tu gadacie o tym obrazie, że to był obraz jakiś cudowny, to ja bym chciał wiedzieć.

— No! powiada pan Walenty, toć mi to nic nie zaszkodzi, że ja opowiem to, o czem wszyscy koło Kańczugi gadają, wszakto powinien każdy, co jeno dobrego u nas, gadać drugim na naukę, a co znowu złego, to gadaniem takiem nie trza

obrażać najprzód Boga, a potem ludzi. A o tym cudownym obrazie tak u nas słychać. Jak wiecie, to tu była dawno dawno kaplica św. Magdaleny. W Kańczudze była zawsze szkoła, boć cóż znaczy gromada bez szkoły, gdzie nikt nic nie przeczyta ani nie napisze? Otoż do tej szkoły posyłali ludziska wsiowi swoje dzieci, a osobliwie ze wsi Niżatycze chodzili chłopcy do tej szkoły. Poprawdzie mieli oni dobry kawałek drogi chodzić do szkoły, ale bez pracy nie ma nikt chleba i kołaczy. Osobliwie jeden chłopak Staś Dyń był ciekawy do nauki, ale bo też i ojcowie jego byli zatem i sami byli pobożni i pracowici, w izbie mieli obrazy święte, a przed obrazem Matki Boskiej świecili co sobotę lampę blaszaną a nie raz to poklękali i odmawiali litanię do Matki Najświętszej.

— Ha! mówię ja na to, taki to był staropolski zwyk, że co chałupa, to palili lampy przed Panem Jezuszem i Najświętszą Panną co piątek i sobota, a nie raz klękał cały dom i modlił\się. Toż było wtedy lepiej każdemu na świecie. Ale cożsię stało z tym Stasiem Dyniem?

— Co się stało? gada pan Walenty, wszystko najlepiej. Ten mały chłopak dostawał od matki śniadanie, toć ten bobek miał wtedy taki rozum, że kiedy jeno przechodził koło tej kaplicy do szkoły Kańczużańskiej, to zawsze wstępował i zmówił pokornie paciorek, a potem wyciągał chleb z kieszeni i kładł koło tego obrazu św. Magdaleny i tak sobie gadał:

— Ja się obejdę bez śniadania i pożywię się w domu, jak wrócę ze szkoły, a ten chleb może sobie znajdzie jaki dziaduś albo babusia i zje go, a za mną zmówi paciorek.

— A to mi dobre dziecko! mówię ja, że ono na swoje lata miało takie miłosierne serce i taki pobożny rozum! I pewnie mu to Bóg odpłacił w jego życiu później.

— Oj co odpłacił, to odpłacił stokrotnie, gada pan Walenty, bo miarkujcie sobie, raz kiedy ojcowie jego odmawiali modlitwy w izbie przed obrazem Najświętszej Panny koło lampy, przelatuje parobek zadyszany i woła:

— Dla Boga gore! a wy tu w izbie, uciekajcie na rany boskie, bo się na węgiel spalicie.

— A gdzież się to paliło? pytam ja.

A pan Walenty na to:

— Ta ich własna chałupa, i to już dach cały był w ogniu strasznym, a w sieni sypało ogniem z góry, że straszno było wychodzić.

-- No! to się może popalili? pytam ja.

— O nie! gada pan Walenty, kto zmówi przed leganiem „Kto się w opiekę“ ten nie ginie marnie — toż i ci biedni ludziska kończyli prawie odmawiać te boskie słowa, zerwali się czemprędzej, wybili okno i wyskoczyli szczęśliwie. Stasia porwał parobek z pościeli, nakrył głowę cebrem wielkim, aby mu ogień głowy nie zapalił i tak wyleciał z nim przez sień ale cała praca z chudobą i sprzętami spaliła się do znaku, jeno popiół czarny został, a ci gazdowie w jednej koszuli ze Stasiem.

— A cóż nie mogli to ludzie ratować? pytałem ja.

— O ci ludzie! ci ludzie! gada pan Walenty, nie zawsze to pono każdy z ochotą ratuje, choć to za to grzech wielki — no! a jak do tego dmie wiatr, to i ratunek na nic.

— Ale mi setny żal, tych ludzi, powiadam na to.

— Ha! powiada pan Walenty, żal jest dobrą rzeczą, ale najlepiej poratować i podać takim rękę. Toż i tych biedaków nie opuścili z gromady i z Kańczugi, co mógł kto, to poratował, ale najwięcej pomógł Bóg i to pono za wstawieniem się św. Magdaleny.

— A to jak się stało? pytałem ja.

Na to gadał pan Walenty:

— Na drugi dzień płakali strasznie ojcowie, a mały Staś wybierał się do szkoły — szuka książek a te mu się spaliły, potem idzie do matki i gada: Mamo! ja pójdę do szkoły w koszuli i boso, ale dajcie mi też chleba na śniadanie.

A matka głaska mu głowę i powiada z płaczem:

— Nie ma chleba dziecino moja! nie chodź dziś do szkoły. bo zimno; pomóż nam zbierać opałki i ziarno popalone, a aż ja upiekę chleba, to wtedy pójdziesz do szkoły.

— No! cóż zrobił ten biedny bobek? pytałem.

— Dziecko jak dziecko, mówi pan Walenty, jak dobre to dobre, aż mają ojcowie raj na ziemi, a jak niedobre, to wtedy ostatnia bieda dla ojców. Staś też w koszulinie, boso,

bez śniadania i bez książki poszedł do szkoły. Szło sobie to drobne biedactwo prostą drogą, płakało, aż przyszło przed kaplicę św. Magdaleny, poszło ono tam i klękło przed obrazem i mówi:

— O dziś nie przyniosłem chleb dla biednego dziadka, bo się tatusiowie moi spalili i nie mają nic a nic — ale jak jeno dostanę śniadanie, to zarusienko przyniosę i tu położę. Potem pocałowało ono ziemię świętą, wstało i chciało pocałować obraz św. Magdaleay, aż tu naraz widzi, że cały bochenek chleba białego leży na ziemi.

— No! cóż zrobił Staś? pytałem ja.

— Co zrobił? gada pan Walenty, podniósł chleb z ziemi, pocałował go, schował go sobie za obraz, a sam poszedł do szkoły, a po szkole wrócił, wziął chleb i zaniósł do domu. A jak matka zobaczyła chleb u niego pyta go:

— A tobie kto dał taki wielki bochenek chleba, może jaka piekarka z Kańczugi?

— O nie piekarka, mówi Staś, tom sobie znalazł tam w kaplicy św. Magdaleny.

A matka myślała, że to kto położył dla ubogich i powiada mu:

— Na co to było brać, kiedy to nie twoje! idź i zanieś to zaraz na miejsce.

A Staś mówi:

— Jak ja całował nóżki św. Magdaleny, to wtedy ujrzałem ten bochenek na ziemi i ja go też wziął. Ja tam kładłem zawsze moje śniadanie dla biednych, to teraz dał mi Bóg śniadanie, kiedy wy nie macie mi co dać.

— A matka co zrobiła dalej? pytałem ja.

— Matka, gada pan Walenty, zawołała ojca i powiada mu to co do słowa, a ojciec wziął bochenek do ręki, widzi, że ciężki bardzo, dobył więc od pasa nożyk, ukroił z wierzchu kawałeczek a tu w środku dukaciki mieniące jak ogień, bierze on obraca chleb, a tu jak się zaczęły sypać i sypać dukaty, to aż się starzy zadziwili, a Staś mały nazbierał sobie dukatów do rączki i powiada:

— To Bóg dał mi na śniadanie, bo i ja dawałem dziadkom każde śniadanie.

Ojciec zadumany pyta:

— Co on plecie ten chłopiec?

A matka opowiedziała mu wszystko, jak to Staś zanosił każde śniadanie do kaplicy i tam go zostawiał dziadkom.

— Ha! powiadam ja na to, jeżli Bóg daje z jednego ziarneczka nie raz kwartę zboża, jeżli bochenkiem jednym nakarmił tysiące ludzi na puszczy, jeżli się opiekuje robaczkiem, to mógł dać Stasiowi ten bochenek z dukatami za to, że on był miłosiernym dla ubogich, pilnym do nauki, posłuszny ojcom i pobożnym. Ale co się stało dalej?

A pan Walenty powiada:

— Ojciec stary zabrał się z tym bochenkiem do xiędza do Kańczugi i tam mu wszystko opowiedział. Xiądz kazał przyprowadzić Stasia, wypytał go o wszystko, a jak Staś opowiedział, to xiądz powiada:

— Macie oczywistą zapłatę od Boga za wasze dobre życie, za dobry wychowek dzieci i za to dobre dziecko. Podziękujcież za to Bogu, a ja wam radzę tak zrobić z temi dukatami: Dajcie jedną część na naukę Stasiowi, bo widać chce Bóg mieć z niego dużo dobrego; drugą część weźcie sobie na poratunek po tym ogniu, trzecią część dajcie na szpital, a resztę dajcie na ten cudowny kościółek.

— I cóż się stało? pytałem ja.

— Tak się stało, mówi pan Walenty, jak xiądz doradził. Staś poszedł do szkoły i został dobrym i mądrym Polakiem i panem, ojcowie postawili chałupę, fundowali szpital, fundowali kościółek nowy dla św. Magdaleny, który to kościółek spalili potem Szwedy, a dziś stoi tu znowu murowany kościółek św. Józefa.

A ja dodałem na to:

— Uważacie panie Walenty! ja sądzę, żeby tu trza koniecznie dać obraz św. Magdaleny, aby była pamiątka wieczna dla wszystkich o tym bochenku chleba.

— A i tak dobrze, gada pan Walenty.

I rozeszliśmy się potem, a ja to opisuję do Dzwonka dla ciekawości gromad, aby wiedziały, jak to Bóg nagradza miłosierne serce, i na co to stoi teraz murowany kościół św. Józefa na drodze do Kańczugi.

Kar. Marciak, nauczyciel z Kańczugi.

Legenda o świętym Izydorze.

O nie wiecie wy ludkowie!
Jak za dawnej tam pamięci,
Byli w pośród was królowie,
Byli nawet nie raz święci.

Tam gdzie tacy jak wy ludzie,
Wśród dalekie ztąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim jak wy był on chłopkiem,
Tak się jak wy męczył, nużył,
Przecież mnogich cnót dorobkiem,
Sławy niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Jakich mało było w świecie,
Krzywdził, więził, chłostał, trudził,
Zniósł wszystko prostaczek przecie.

Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziej go bolały,
Cierń co w Boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole
Nieszczęśliwych szereg długi,
Zniósł, bo widział że tu pole
Nie nagrody, lecz zasługi.

I raz, że pan bez sumienia,
Podwójną mu orkę zadał,
A w przypadku niespełnienia
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem.
Zaprzągł wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytem,
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdej trudnej porze,
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża kląkł w pokorze,
I gorąco błagał, prosił.

Głowę w świętej chylił krusze,
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę,
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.

Zląkł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał swej niedoli:
Gdy w tem wkoło okiem rzucił,
Jakaś jasność, woń po roli.

Patrzy, widzi zadumiały,
Niepojęte cuda, dziwy:
Anioł śliczny jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy.

Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie,
Nie ma bicza rataj święty;
Wołki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołem,
Pług tak lekko płynie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi.

Gdy w tem anioł promienisty
Nagle w górę wzlata, leci,
A jak tęczy pas ognisty
Długi ślad tak za nim świeci.

Niknie, niknie postać święta,
Niknąc takie słowa głosi:
„Kto o Bogu swym pamięta,
„Temu pomoc Bóg przynosi“

Nie wiele czasu ubiegło,
A w tem samem miejscu cudu,
Wielkie miasto się rozległo,
A w niem mnóstwo zlało ludu!

Król po królu w wielkiem mieście
Włada, rządzi, rozkazywa:
A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,
Chłopka tego w pomoc wzywa.

Bogata żona.

Oj nie szukaj parobeczku bogatego wiana,
Lepsza żona pracowita, niźli wyzłacana!

Nie było tęższego i dorodniejszego parobczaka we wsi całej nad Katarzynowego Franka! Co zuch, to zuch — chłop sobie setny całą gębą, hoży i ładny, a uczciwy przytem i pracowity jakich mało! Franek był prawdziwą pociechą swej starej matki Katarzyny, ubogiej wdowy, której po mężu została tylko mała chałupina i szmat gruntu skąpy. Ale też, choć nie mieniem, to synem jedynakiem pobłogosławił Pan Bóg Katarzynę, bo Franek był takim dobrym chłopakiem, że go jej wszyskie matki pozazdrościć mogły.

Nie było też w całej wsi dziewczyny, coby oczkiem nie rzuciła na Franka a nie jednej serduszko zapukało głośno, kiedy do niej przemówił lub za rękę uścisnął. Ale darmo tam dziewuchy wzdychały do Franka, miał on już swoją zamówioną, Zosię Mateuszową. Zosia była sobie ubogiem dziewczęciem, bo jej ojciec Mateusz klepał biedę na kilku morgach ziemi, ale za to też była jak jagoda, rumiana gdyby malina, ładna gdyby malowanie przepiękne.

Ale więcej jeszcze niż liczko rumiane warte były u Zosi serduszko dobre i cnotliwe, pracowitość i skromność. Franek kochał też swoją Zosię z całego serca, a poczciwa Katarzyna

cieszyła się bardzo, że polubił dziewczynę dobrą i pracowitą. Bo też trza wam wiedzieć, że to sama matka Katarzyna wybrała Zosię dla swego Franka i zawsze mu mówiła:

— Jeżeli chcesz synu być szczęśliwym i mieć dobrą żonę, dobrą gospodynię i dobrą matkę dla dzieci, to nie bierz innej, jeno Zosię. Nie ma ona tam wprawdzie mienia, a wiana nie wiele ci się po niej dostanie, ale za to piękna i cnotliwa, a to synu większe bogactwo, niż złoto i srebro!

Usłuchał tej rady matczynej Franek i przyrzekł jej święcie, że z nikim się nie ożeni, jeno z Zosią. Mateusz nie był od tego, aby Zosię wydać za Franka, bo wiedział, że to chłopak zdrów, dobry i pracowity — a tak postanowili ojcowie, aby się wesele odbyło w jesieni. Ucieszył się tem bardzo Franek, ucieszyła się i Zosia, ale już najbardziej rada temu była sama Katarzyna, bo mawiała zwykle.

— Nie dużo mi się życia na świecie już należy, a nim umrę, chciałabym dożyć jeszcze, aby Franek wziął sobie dobrą i poczciwą żonę. Kiedy już zobaczę, że się Franek i Zosia pobierą, to umrę spokojnie, bo syn mój będzie miał skarb najlepszy, cnotliwą żonę!

Tak stały rzeczy, kiedy nagle stara Katarzyna ciężko zaniemogła. Było to jakoś już koło św. Anny, a więc już niedaleko do wesela Franka. Katarzyna ni ztąd ni zowąd popadła w niemoc ciężką a już dla niej nie było ratunku. Snać już Pan Bóg tak chciał, aby biedna wdowa nie doczekała się wesela swego jedynaka. Wielka była zgryzota Franka, płakał i lamentował jak dziecko, a Zosia biedaczka pilnowała i doglądała Katarzynę jak swojej rodzonej matki. Tymczasem chorej coraz bardziej się pogorszało, a pewnego dnia pod wieczór przyszła już dla niej ostatnia godzina.

Franek pobiegł po xiędza i dał znać Mateuszom, a zaraz przybiegła i Zosia zapłakana mocno i zaczęła się modlić nad umierającą. Kiedy się staruszka już wyspowiadała, zawołała do siebie Franka i Zosię i tak im rzekła słabym głosem:

— Oto już mię Bóg woła z tego świata i niezadługo stanę przed jego sądem sprawiedliwym. Nim jednak umrę, proszę cię i zaklinam, synu, pod błogosławieństwem matki,

abyś był wiernym Zosi i pojął ją za żonę, a ciebie Zosiu, jako moją synowę proszę, abyś mu była dobrą żoną a dzieciom jego matką cnotliwą. Uklęknijcie, a ja wam pobłogosławię przed śmiercią!

Franek i Zosia wzięli się za ręce i uklękli przed umierającą Katarzyną, a ona drżące ręce położyła na ich głowach i pobłogosławiła ich oboje. Potem już mówić przestała a za kilka chwil już Bogu ducha oddała.

Franek z wielkiego żalu od rozumu odchodził, rwał sobie włosy z boleści i wyrzekał gorzko i ledwie go xiądz proboszcz religijną pociechą uspokoił. A kiedy już Franek troszeczkę się uspokoił, wziął Zosię swoją za rękę i rzekł do niej:

— Matka mi umarła i nie mam już na świecie nikogo, jeno ciebie Zosiu moja droga! Toć nie opuść ty mnie i nie złam mi słowa, tak jak ja ciebie nie opuszczę, jeno ci zawsze wiernym będę.

Zosia nic nie odpowiedziała jeno łzy jej się puściły z oczu i twarzyczka jak róża rumieńcem zakwitła. Ścisnęła jeno rękę Frankowi, jako jego będzie na zawsze.

Na trzeci dzień odbył się pogrzeb Katarzyny, a cała wieś żałowała mocno Franka. Wesele jego z Zosią już tak prędko odbyć się nie mogło, a to z powodu śmierci matki, więc też je na kilka miesięcy odłożono. Franek był wierny ostatniej woli matki i swej kochanej Zosieńce, i ani myślał o kim innym jeno o niej — bo był dobry i poczciwy chłopak.

Ale i na dobrych i poczciwych nachodzą czasem pokusy; i dobrych ludzi nic nie uchroni od złej namowy i rady niepoczciwej. Tak się też za krótki czas stało i z naszym Frankiem. A posłuchajcie jeno, jak to się przytrafiło.

Był we wsi bogacz bardzo wielki, Michał Ława, który miał córkę jedynaczkę, Jagnę. Jagna była to już dziewka nie młoda, brzydka, aż strach zbierał. Chuda była jak szczypa, włosy miała rude a oczy patrzały jej zyzem i ciągle z nich złość patrzała. Ale bardziej niż ta brzydota ciała, szpeciła Jagnę brzydota duszy. Była bowiem Jagna zła, leniwa a majątkiem swym pyszniła się okrutnie i kto tylko był biedniejszy, ten już w jej oczach nic nie znaczył.

Otoż ta Jagna Ławianka bardzo sobie upodobała Franka, bo był chłopiec dobrany jak dębczak. Wiedziała ona o tem, że jest brzydka i nie umie się Frankowi podobać, ale za to zakładała sobie wiele na swój majątek, bo ojciec był setnym bogaczem, a nie miał, tylko ją jedną. Suszyła sobie tedy głowę Jagna, jakby to zwabić Franka, aby się z nią ożenił — aż wreście podmówiła jednę kobietę ze wsi, Małgorzatę, aby ona to szykownie Frankowi napomniała.

Mówi stara gadka, że gdzie djabeł nie może, tam babę poszle. Tak się też i tu przydarzyło. Stara Małgorzata wyrozumiała o co idzie, i zaraz się wzięła do konszachtów. Pewnego razu, kiedy Franek przechodził po przed jej chatę, wyleciała na podwórze i zawołała go do siebie:

— Wstąpcie no Franku — rzecze — bo mam wam coś bardzo ważnego powiedzieć....

Franek się zatrzymał i słuchał, a Małgorzata mówi mu dalej:

— Już to wy bardzo szczęśliwi jesteście Franku, wam by wszyscy chłopcy okrutnie zazdrościć powinni.

— A to dla czego? — pyta Franek.

— Patrzcie no go! — mówi na to Małgorzata — niby to on nie wie! A za kim to wszystkie dziewczęta wypatrują oczy, jak nie za Frankiem? hę?... A toć wy Franku, jeno mrugnąć potrzebujecie, a każda wasza!

— Ale co mi tam potem. Nie za dziewczętami mi latać — mówi Franek — ale pracować, bom biedny. Ale zresztą ja tam o to jako żyw nie stoję, bo ja już i tak mam swoją Zosię a za lada miesiąc będzie nasze wesele.

— Szkoda was Franku — mówi Małgorzata — że sobie tak świat zawiązujecie! Co tam Zosia, ładne to wprawdzie bo młode, ale gołe i nie ma złamanego szeląga. Wyście biedni i ona biedna, to i cóż z was będzie, jak się pobierzecie? Jeszcze dopóki ona hoża i młoda — ale młodość i uroda nie wieczne, a bieda jak się chwyci, to jej już kijem nie odpędzisz!.... Wam by się zdała żona bogata!

— A co wy tam gadacie — odpowiedział Franek i machnął jeno ręką, a gdzieżby mnie biedaka chciała jaka bogata... A zresztą już ja wolę Zośkę, choć biedna....

— Oj czemu by nie chciała — mówi Małgorzata — ot pierwsza Jagna Ławianka, co cały dobytek weźmie po ojcu, duchem by za was poszła, gdybyście tylko pisnęli....

— A wam co Pan Bóg dał — zawołał Franek ze śmiechem — toć jabym miał taką brzydką i złą dziewkę brać, a za żadne pieniądze!

— Co to brzydka, brzydka — odpowiada Małgorzata — za kilka lat to i najpiękniejsza dziewczyna będzie brzydka. Ale za to gruby majątek, czy to nic nie znaczy? A grunt, a bydło, a konie, a grosz gotowy! Hej, hej Franku, samo wam się szczęście nawija, jeno go co rychło chwytać.

I oto patrzcie, jak zaczęła Frankowi klepać w uszy stara szachrajka, jak mu zaczęła rachować pieniądze, które ma Jagna Ławianka, tak Franek na prawdę wziął sobie to do serca. Poszedł do chaty i począł smażyć głowę nad tem, co mu nagadała Małgorzata. I oto jakby jakiś zły duch przemawiał z niego, tak sobie mówił:

— Ławianka bogata, bardzo bogata, nie ma co mówić. Ojciec jej najbogatszy we wsi całej a już niedomaga starowina, Jagna jedynaczka wszystko po nim zabierze!

A dobry duch szeptał mu w drugie ucho:

— Ale Zosia, choć uboga ale dobra jak anioł, piękna, gdyby malowana, i kocha cię nad życie! Byłaby z niej żona dobra i cnotliwa!...

A zły duch znowu sobie:

— Ale jak się ożenisz z Ławianką, to będziesz panem całą gębą, będziesz miał mienie i wygody!

— Bądź wiernym Zosi — odzywa się sumienie — bo taka była ostatnia wola twojej nieboszczki matki...

Tak to pokusa i sumienie przemawiały do Franka.... Ale człek każdy słabą jest istotą, a zła pokusa łatwy ma przystęp do niego. Tak też się stało z Frankiem. Chęć bogactwa i marności przemogła nad sumieniem? Franek porzucił Zosię!

Zaraz na drugi dzień począł się zalecać do Jagny Ławianki. Ojciec Jagny nie sprzeciwiał się temu, bo znał Franka, że był parobczak tęgi i pracowity i radby był dostać jeszcze przed śmiercią dobrego zięcia dla córki. A sama Jagna, to

mało już ze skóry nie wyskoczyła z wielkiej radości, bo się jej Franek okrutnie był podobał.

Gruchnęło też zaraz po wsi całej, że Franek porzucił Zośkę i zachodzi koło bogatej Ławianki. Biedna Zosia, gdy się o tem dowiedziała, mało jej serce nie pękło, bo kochała nieboga Franka z całej duszy. A i Frankowi czasem stanęła w oczach Zosia i żal mu ścisnął serce, gdy sobie na nią wspomniał — ale dusza jego zaprzedała się już bogactwu i odpędzała od siebie myśli o biednej dziewczynie.

Tymczasem stary Ława zgodził się już na to, aby Franek wziął Jagnę, i tak niebawem nadszedł dzień ślubu. Jagna raduje się bardzo, że najpiękniejszego chłopaka w całej wsi weźmie za męża, a Zosieńka biedna wypłakuje tymczasem oczy i marnieje od wielkiej załości. Z frasunku i zgryzoty zaniemogła ciężko dziewczyna, w sam dzień ślubu dano znać Frankowi, że Zosia bardzo chora.

Zagryzło mocno Franka sumienie, przypomniała mu się ostatnia wola matki i poczęło mu się ciężko robić około serca, ale tak już był opętany od tej chciwości bogactwa, że sobie wybijał z głowy te myśli.

— Trzeba zalać robaka — mówił do siebie Franek i poleciał do karczmy, a tu wypił kilka kieliszków wódki, aby sobie dodać ducha i odwagi.

A potem ustroił się pięknie do ślubu i poszedł z chłopcami po pannę młodą. Ale choć go wódka odurzyła, przecież sumienie odzywało się w nim ciągle, i kiedy już wybrali się do kościoła pobladł jak trup i chwiał się na nogach, bo mu przed oczami stała nieboszczka matka i blada, zapłakana Zosia, która go tak serdecznie kochała, a którą on zdradziecko porzucił dla marnego grosza!...

Wreście już było po ślubie, cały orszak weselny wraca do domu a grajki rzną od ucha na przedzie i tak idą właśnie po przed chatę Zosi. Zosia usłyszała muzykę, zerwała się z łóżka i choć chora pobiegła do okna, spojrzała na Franka i jego żonę, krzyknęła straszliwie i padła zemdlona na ziemię.

Wesele się wstrzymało, Franek zachwiał się na nogach, serce go okrótnie zabolało, ale już wszystko było zapóźno, już go ślub połączył z bogatą Jagną, a co Bóg związał, tego człowiek nie rozwiąże!...

Jeszcze się nie skończyło wesele Franka z Jagną, jeszcze muzyka grzmiała w chacie, a hulanka szła w najlepsze, kiedy

Zosia biedna oddała ducha Bogu. Nie mogła biedna przeżyć zdrady swego Franka! Gdy się o tem dowiedział Franek, bił się rękami w czoło, jakdyby chciał zagłuszyć sumienie, co go jak robak zarłoczny toczyło i zawołał:

— To ja ją zabił! Ja ją zabił nieszczęśliwy!

Ale swaty i drużbowie nie dali rozpaczać Frankowi, otoczyli go do koła, zaczęli lać w niego napitek, i rozweselali go w rozmaity sposób. Tak minęło wesele Franka.

Był już teraz bogatym, objął całe gospodarstwo starego Ławy, miał grosza dużo, ale szczęścia i spokoju nie miał. Ledwie kilka tygodni minęło od ślubu a już Franek miał piekło w domu. Jagna, jak wam już opowiadałem, była złą bardzo kobietą, kłótliwą i niespokojną. Wnet też zaczęły się swary okrutne, Jagna zaczęła wymawiać Frankowi, że go zrobiła bogatym człowiekiem, że całe mienie do niej a nie do niego należy.

A do tego Franek nie mógł w żaden sposób nabrać serca do Jagny, raz już dla tego, że była zła i brzydka, a potem znowu nie mógł nigdy zapomnieć o nieboszczce Zosi, która go tak kochała, a była taka śliczna i dobra. Poznała to Jagna, że Franek nie myśli o niej i że jej nie kocha, jeno zawsze smutny i zadumany o swej dawnej kochance myśli, więc też zaraz zaczęły się różne wymówki i wyrzuty.

— Czegożeś ty taki jak gdyby pień — krzyczała na niego — toć przecie powinieneś sobie mieć za szczęście, żem poszła za ciebie, i żem z ciebie człowieka zrobiła! Może ci jeszcze ciągle w głowie twoja Zośka, a na mnie to nie patrzysz, a ja cię przecież z żebraka na gospodarza wykierowała!

Nie ma dziwoty, że Franka na takie gadanie zawsze gniew brał wielki i zaraz przychodziło do swaru i obrazy boskiej. A zresztą Jagna nie dała mu ani chwili spokoju, zawsze mu dokuczała i wymawiała swoje mienie a poniewierała nim tak, jakby ostatnim pastuchem. Miał teraz Franek za swoje! Ciężko go Bóg pokarał za chciwość grosza, za zdradę! Sumienie go dręczyło, nigdzie nie mógł znaleźć spokoju, a w domu było dlań istne piekło!

Franek zmienił się do niepoznania. Z zdrowego i jurnego chłopaka zrobił się blady cień tylko, tak się postarzał i zniszczył, z pracowitego zrobił się leniwy i ospały, bo nic go już nie cieszyło i do niczego z ochotą się nie zabierał — z porządnego i trzeźwego zrobił się pijak. Franek chcąc zatłumić swoją zgryzotę i pocieszyć się w smutku począł zaglądać do karczmy, i nauczył się pić na dobre. Zrazu pił mało, potem

więcej a nareście na piękne się już rozpił. A gdy przyszedł do domu pijany, wtenczas dopiero zaczynała się obraza Boska! Żona go łajała i potrącała nim, jak ostatnim łajdakiem — a on sobie także wyklinał i wykrzykiwał.

Razu pewnego wracał Franek w nocy z miasta i szedł mimo wiejskiego cmentarza. Załość go wzięła wielka, przypomniał sobie odrazu matkę nieboszczką i Zosię, którą swą zdradą do grobu zapędził. Wstąpił na cmentarz i poszedł szukać grobu matki. Obok grobu matki był zaraz i grób Zosi. Łzy się puściły z ócz Frankowi — ukląkł i chciał się modlić. Noc była czarna — ale w duszy Franka jeszcze czarniejszy był smutek i rozpacz. Modlitwa mu nieszła, a sumienie odzywało mu się ciągle:

— Nie dotrzymałeś słowa umierającej matce! Zapędziłeś w grób biedną dziewczynę! Wolałeś grosz niż cnotę! Zaprzedałeś się marności i djabłu!...

I zdawało mu się, że jęk matki i Zosi odzywał się z pod ziemi! Strach go wziął okrutny, włosy stanęły mu jeżem na głowie. Porwał się z ziemi i począł uciekać co tchu. We wsi już były wszystkie światła pogaszone, jeno w karczmie jeszcze się świeciło. Wpadł do środka i kazał sobie dać wódki i pił bez pamięci. Pijany i bez przytomności wyszedł z karczmy i powlókł się do domu. Drzwi do izby były zamknięte. Począł pukać i stukać z całej mocy, aż nareście Jagna otworzyła i wyszła z świecą do sieni. Była cała czerwona od złości i gniewu i zawołała:

— Idź precz pijaku, łotrze, żebraku ty jeden! Wyciągnęłam cię z biedy, a teraz cię wypędzam z mojego domu! Idź giń pod płotem, byłeś wpierwej żebrakiem, bądź nim i teraz!

Franka wściekłość porwała, podniósł pięść i uderzył z całej siły Jagnę. Jagna zalała się krwią i padła na ziemi. Światło zgasło i zrobiło się ciemno jak w grobie. Franek wyleciał z chaty i zniknął gdzieś w ciemnościach nocy....

Na drugi dzień znaleźli sąsiedzi Jagnę z wielką raną na czole i ledwie ją się docucili. A Franka znaleźć nie było można. Jagna chorowała długo, nim się wyleczyła z rany, a tymczasem o Franku ani śladu. Dopiero za kilka dni znaleźli ludzie trupa, co go woda wyrzuciła na brzeg! Był to Franek! Zapewne pijany i w rozpaczy rzucił się w wodę i utopił.

Tak się kończy historja Franka i jego bogatej żony! Macie w niej przykład, że szczęście w małżeństwie nie zależy na majątku ale na miłości i zgodzie, że nie żona bogata, ale dobra i cnotliwa wnosi w dom błogosławieństwo Boże!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.